

Złapali mnie w Wilnie 23 sierpnia 1945 roku. Przywieźli do więzienia, wrzucili mnie do ubikacji. Kał, w rogu jakby trochę słomy czy czegoś, mogłam tylko stanąć; przedtem na pewno była tam ubikacja. Trzymali mnie trzy doby, nie dali ani pić, ani jeść. To było w podziemiu, w piwnicy, nieduży areszt, bo to małe miasteczko. Po trzech dniach przyszedł jeden z NKWD i przenieśli mnie stamtąd. Maluteńkie w piwnicy pomieszczenie, deska jakaś była szersza, że można się było położyć. Przyniósł mi jakiś enkawudzista trochę ciepłej wody i małą kromeczkę chleba.

Wieczorem wezwał mnie śledczy. Ja byłam łączniczką, a oni się strasznie nad łączniczkami znęcali. Łącznicy wszystko wiedzieli, broń, wszystko nosili. Pytali mnie o kontakty, gdzie kto mieszkał. Ja powiedziałam, że nie wiem, że ja nie jestem łączniczką, nieprawda, wyście coś sobie wymyślili. Aresztowaliście nie wiem za co. „Nie, ty *banditka!*” I wtedy za włosy, w twarz bili, kopali.

Pierwsze godziny to bolało, jak się znęcali, a potem nie wiem. Może byłam taka uparta, po prostu nie czułam już bólu. Bili, ja tylko skuliłam się i zawsze pamiętałam o tym, że niech mnie nawet zabiją, ale przecież nie mogę wydać ludzi, kolegów. „Nie wiem, nie wiem” stale powtarzałam, „nie wiem czego wy ode mnie chcecie, nic nie wiem...” I tak z półtora tygodnia, co wieczór. Ostatnie to już chodzić nie mogłam; tak strasznie byłam zbита, że ledwo przyszedłam do tego *sliedowatiela*, znaczy śledczego.

Po półtora tygodnia wywieźli nas. Przysłali samochód, „czarny woron”, wsadzili nas i przywieźli do Grodna. W Grodnie oczywiście w *pojedynku*, znaczy do celi pojedynczej. I tam też co wieczór. „*Priznaj sie, priznaj sie*”. Ja mówię, że nie mam do czego się przyznawać, nie wiem, nie wiem, co wy chcecie. Że oni mają dowody, że byłam łączniczką, że byłam w partyzantce. Ja mówię – nie wiem, może wy coś sobie wymyślili, ale ja nic nie wiem. I też bili strasznie.

I to tak trwało może dwa tygodnie. Okropnie. Wreszcie zakończenie śledztwa, śledczy mówi: „*podpisz*”. Ja mówię: „Nie wiem, co tam mam podpisać, przecież tak nie mogę”. – „Ale ty *umiejesz* czytać po rusku?” Ja mówię, że próbuję.

Zawsze mnie namawiał: „*Ty radziłas' na terytorium białoruskim i ty białoruska*”. Ja: „Nie, byłam Polką i będę, i Polska tu jeszcze będzie, i Polacy będą”. Wtedy w ogóle strasznie się wyrażał.

Po zakończeniu śledztwa mówi: „*podpisz* protokół”. Położył, żebym przeczytała. Tak bardzo czytać nie umiałam, ale od litery do litery: *grazdanka białoruskaja*... Nie wiem, co się ze mną stało, czasem zastanawiam się, jakiejś furii dostałam, coś strasznego ze mną się stało – że on napisał, pomimo, że zawsze zaprzeczałam, że mówiłam, że jestem Polką, że Grodno jest polskie, było i będzie. Nie wiem, co się ze mną stało. Wzięłam to i rozerwałam i rzuciłam. Jak on mógł wpisać, że jestem Białoruską? Jak on wyskoczył... Ale ja już nie czułam, byłam tak przerażona, już nie czułam bólu. Potem już on się zmęczył, drugiego jakiegoś enkawudzistę zawołał. I nie wiem co się ze mną stało.

Obudziłam się w izolatce. 14 dni tam siedziałam. Dawali mi pół szklanki, może więcej, wody na dobę i mały kawałek chleba; tzn. karne. Na podłodze, na klepisku. Po czternastu dniach nie mogłam chodzić. Przyszli tam jacyś, pod ręce mnie wzięli i zaciągnęli do celi pojedynczej. Tam dwa dni. Tak byłam słaba, pobita strasznie, że nie mogłam chodzić. Dwa, trzy dni dali mi odpocząć i wzywa mnie śledczy. Patrzę, ten sam drań. I mówi mi tak, że sprawę założył, *budiem tiebie sudit'*, że porwałam. – „*Możesz sudit', mnie wsio rawno*”. – „*Budiesz gawarit'?*” Ja mówię, że nie, nie będę, bo nie mam o czym. On do mnie „ty”, ja do niego też „ty”. – „*Kakoj ja ci ty?*” Ja mówię: „Ja dla ciebie też nie jestem ty, jakim prawem...” – „*Ty banditka, budiesz gawarit'?*”

– Ostatnie słowo powiedziałam, więcej słowem się do ciebie nie odezwę, że w ogóle mnie nie pytaj. Nic nie wiem, to ostatnie moje słowo.

A już jak mnie wprowadzili, to ręce w kajdany, skute, z pnia łańcuch i przywiązali mnie, żebym się ani ruszyć nie mogła.

On: – *Ubiju!*

– No to czego czekasz, zabij mnie.

Siedział, siedział. – *Budiesz gawarit?* – w ogóle się nie odezwałam. W końcu zawołał jakiegoś enkawudzistę, ten przyszedł, zabrał mnie i do celi.

Siedziałam w celi, po dwóch, trzech dniach wzywają mnie z powrotem, też ręce w kajdanach. Patrzę, jakiś inny śledczy. I zaczyna, już taki grzeczny, „czy ja będę z nim w ogóle rozmawiać.” Ja mówię – nie mam o czym, po prostu nie mam o czym z wami rozmawiać. Już do niego nie mówię „ty”, bo grzecznie mówił. Inną metodę przyjął, bo widzieli, że w złości nic ze mnie się nie uda [wyciągnąć]. Ja mówię: „Nie mam o czym, bo nic nie wiem.” Widzę – denerwuje się i wybucha.

– *A ty wrosz, ty znajesz wsiech partyzantow!*

Ja mówię – nikogo nie znam, nie byłam i nie jestem łączniczką. Bo przecież nie mogę mu powiedzieć. Też wzywał kilka razy [na śledztwo], wieczorem zawsze. Ja nie spałam, tzn. jak oni mnie zaczną bić, to ja przytomność stracę, po prostu umęczona jestem. Ten drugi [śledczy] już mnie nie bił, tylko powiedział: „*no, ty swołocz, ty polska swinia. Tiebie ubit' tolko nada, ty bandit, wy naszych ubiwali.*” Ja mówię: „Nikt was tam nie bił, ja o tym nie wiem, nie byłam w partyzantce, nic nie wiem.”

On coś tam pisał, pisał. Też prawie co wieczór mnie wzywali. Tak za bardzo rozmowna ja nie byłam, ale od czasu do czasu mu dociełam.

– Jakim prawem wy mogliście napisać, że jestem Białoruską? Przecież nigdy w życiu nie byłam Białoruską i nie będę! Jestem Polką, urodziłam się na polskiej ziemi i jakim prawem wy możecie...

– *No, ładno, Polka – ten drugi [śledczy]. – Będziesz mówić, nie będziesz, czort s taboj, i tak padochniesz.*

Może po dwóch tygodniach każe mi przeczytać, ale już nie daje mi do ręki. I mówi:

– *Was sudit'... Wy idiotka, kak to wy nie pryznajecie, wy bandit prosto, takoj wrednoj, szto was żalko sudit'.* – Za to, że ja porwałam te śledcze [protokoły]. On mówi: „*tak padochniesz i tak padochniesz.*” I kazał mi podpisać. Ja mówię, że nie podpiszę, bo nie wiem co podpisuję. Trzymał ręką, i kazał czytać. Ja tam za bardzo czytać nie umiałam, ale wszystko jedno. Ale już napisał: *grażdanstwo – Polka. „Podpiszy.”*

– *Niet, nie podpiszu, ja nie umieju czytat'.*

– *A ty tam przeczytałaś, szto ty graždanka bieloruskaja...*

Mówię – parę liter, po prostu wyczulałam, że on taki drań, „*nie umieju pisat'.*” I wtedy jak on pokazał, co umie... „*Ty swołocz...*” Strasznyimi słowami. On sam nie bił, tylko zawołał jakiegoś drugiego. Ja mówię tak: „Możesz mnie zabić, ale nie podpiszę.” Potem jeszcze kilka razy mnie wezwali, żebym podpisała. Powiedziałam – nie, bo wy kłamiecie, ja nie umiem czytać, a wy tu nakłamywaliście na pewno; jakże ja mogę podpisać? Nie wiem jak oni to zrobili, ale im śledczego [protokołu] nie podpisałam.

Przyszłam do celi, już tam siedziała młoda kobieta. Ja przyszłam: „dobry wieczór” – to było w nocy. Nie wiem, kiedy ją wprowadzili. Ona zaczęła mnie wypytywać, mówiła, że była w partyzantce, że walki, że ona to, to. A ja tak wyczulałam, że jest konfidentem. Mówię, że ja nic nie wiem, nioe wiedziałam, że gdzieś są partyzanci; ja tam mieszkałam, ale nie słyszałam, żeby u nas byli. Przez kilka dni ją wzywali i w końcu ona coś tak mi powiedziała, że już nie mogłam na nią patrzeć, nie mogłam wytrzymać z nią. Po prostu czasem chciałam ją udusić, coś z nią zrobić. I pamiętam, kiedyś zaczęła mi opowiadać, że jest patriotką, w partyzantce była, że to. Ja doskoczyłam do niej, nie wiem co się ze mną stało, jakiegoś szału dostałam. I w tej chwili drzwi się otworzyły i ją zabrali.

I potem zawsze – wiem – ktoś patrzył przez okienkow drzwiach celi. Tam o 6 godzinie już trzeba było wstać. Bo jak ktoś nie wstał, to zaraz kara. Ja raz przyszłam zmęczona ze śledztwa, myślę – poleżę jeszcze; i w tej chwili otwierają się drzwi, wchodzi strażnik, „*wychadi!*”, boso. A to na początku grudnia, mróz, zimno. Prowadzi mnie w taki pokój, otworzył drzwi, otworzył okno, zrobił przewiew, kazał mi się rozebrać do naga i stać. Za karę, że ja nie wstałam [z pryczy]. Strasznie zimno, ja nago i boso, kulilałam się, a potem myślę – co mam do stracenia. I strasznie zaczęłam krzyczeć. Ale tak krzyczałam, że wszyscy się strażnicy pozlatywali. Myślę – co oni mogą, będą mnie bić? Przecież ja to u nich codziennie [mam] bicie. Zaczęłam krzyczeć, wtedy przyszła kobieta, strażniczka. „*Odiwajties*” – żebym się ubrała, i zaprowadziła mnie do celi. Myślę – no i dobrze, o to mi chodziło.

Wieczorem wzywa mnie [śledczy] – zawsze o godzinie 11–12 wzywali – i mówi: „*Ty szto, czewo ty...*” A ja: a jakim prawem oni mnie nago wyprowadzili, przeciąg zrobili, a to mróz, ja już nie mogłam wytrzymać. Zrobił awanturę. Ja mówię – wszystko mi jedno, możecie mówić co chcecie; ja po prostu nie mogłam wytrzymać, bo mi zimno było.

Po tym zaraz nas sądzili, trzydzieści osób. Większa cela, za stołem jakiś pułkownik, kapitan, jacyś ważni tacy, Wojenny Trybunał. Oni się nie pytali, ja nie podpisałam protokołu i oni nas nie wzywali, tzn. nie mówili, żeby coś powiedzieć na swoją obronę czy coś. Że kontrrewolucjoniści, że bandytyzm – tak ogólnie, czytali. I tylko wołali nas, np. *Krzyczkowska 10 let, 5 porażenia*. Nazwiska i ile lat [wyrołu]. [Potem] wyprowadzili nas i wszystko. I czekaliśmy do grudnia.

W grudniu 24, w 1945 roku. To był jeszcze 1945 rok. Nie wiem, może nie mieli samochodów, *czarnych woronow*. Tzn. zrobili tak: wyprowadzili nas z więzienia, a enkawudziści stali szpalerem i trzymali się za ręce, żeby nikt [z nas] nie mógł się prześlizgnąć. I nas gnali pośrodku, na dworzec do pociągu, towarowego oczywiście, taki jakim zwierzęta się wozi. Pamiętam, słyszę dzwon na mszy, bo to Wigilia była. Upadłam, powiedziałam: „nie pójdę, zabijcie mnie, nie pójdę, wołę tu zginąć.” Wtedy do mnie przyskoczył enkawudzista i kolbą mnie uderzył kilka razy. A te panie, Polki, które szły za mną – bo by mnie zabił, a mnie wszystko jedno było – pochwyciły mnie za ręce i ciągnęły po prostu. I zaczęły prosić: słuchaj, co robisz, może przeżyjemy, jak tak można... Jakoś mi otuchy dodały, i poszłam wtedy.

Przygnali nas do wagonów. Tam były prycze podwójne, ale nas tak dużo, że nie było miejsca na tych pryczach. Nie wiem, dwa, trzy dni jechaliśmy już, a ja i jeszcze kilka osób nie na pryczach. Zachorowałam – chyba na zapalenie płuc, bo nie mogłam oddychać, gorączkę miałam, bredziłam. I kiedyś taka starsza [więźniarka] powiedziała, że „*u nas umierajet dziewoczka*”. Przyszedł lekarz, który jechał z nami, z konwojem – bardzo dużo wtedy z nami było więźniów, bardzo duży transport. Przyszedł, wziął mnie za ręce, dał jakieś tabletki i kazał opróżnić pryczę. Położyli mnie jakoś pośrodku, na prycze. Jedziemy. Codziennie mnie dawali jakieś tabletki. Ja byłam bardzo silna, zdrowy organizm. Może te tabletki pomogły, już lepiej się czułam, potem zaczęła gorączka opadać.

Przywieźli nas na Pieczorę, to jest na północ przed Workutą. Ja byłam bardzo słaba, dali mnie do *san – czasti*, tzn. punkt sanitarny, tam mnie zbadali. Zapalenie płuc. Nie wiem, Pan Bóg dał, cud, [że przeżyłam], ale też mi jakieś lekarstwo dali.

Po dwóch dniach chyba etap na Workuta i ja też jadę, a jeszcze słaba jestem. Przywieźli; byłam za Workutą, przed samym oceanem, 30–40 km. Budowali koleją. Tam prawdopodobnie gdzieś była kopalnia platyny i myśmy tam budowali. Tam była ziemia zmarznięta, wieczny mróz. Tak, że oni to wszystko dowozili: żwir, belki, podkłady,

wszystko dowozili. Jak mnie przywieźli, parę dni dali odpocząć, a potem [praca] 14 godzin. Mieszkaliśmy w ziemiankach lodowych, w śniegu; wążutkie bardzo przejście, pryce z jednej strony i z drugiej. Spaliśmy jak śledzie i tuliliśmy się, bo zimno, pośrodku piec był, trochę nas ogrzewał.

Przywozili pociągami żwir, trzeba [było wagony] rozgruzować. Szybko, jak kto mógł, rozładowaliśmy cały transport i do baraku. Tylko przyszliśmy [do baraku], żeby trochę rozebrać [się nawet] nie było mowy, bo zimno i nie było czasu. A wszy tak straszne, duże; normalne wszy nie są takie. I tylko człowiek miał czas zdjąć to z siebie i te wszy wyiskać, a włosy miałyśmy w jeden warkocz od gnid, żadnej higieny nie było. Ciało tak obdrapane, poszarpane, że aż spuchnięte. Człowiek skulił się trochę, gdzieś tam zasnął, te wszy... I potem znowu *padjom* [pobudka], *wiertuszka*. Znowu poszliśmy [rozładowywać] żwir, belki czy podkłady. I tak bez przerwy, czekał człowiek. Jak spaliśmy, to człowiek tylko się skulił, bo znowu [zaraz] nas wzywali i musieliśmy coś rozładowywać.

Strasznie ludzie umierali. Dostawaliśmy na śniadanie czerpak, dużą łyżkę zupy. Przywozili ziemniaki i zwalali je na śnieg, a tam 60 stopni mrozu. Z piaskiem brali te ziemniaki, bez mycia, i wrzucali; więcej było piasku w zupie. Człowiek to wypił, nie było co jeść, a czarna tak była strasznie, brudna, i smak tej zupy... Ale musiał człowiek chociaż trochę tego. I znowu do pracy, musieliśmy [rozładowywać] żwir, budowaliśmy kolej.

**Pyt.:** To miało nazwę, gdzie pani była?

To było za Workutą. Workuta to było województwo, *otdalenie* po rosyjsku, a jaki był *nomier* tego lagru, ja już nie pamiętam.

**Pyt.:** Ale czy to należało do Workuty?

To należało do Workuty. To było *otdalenie* Workuta. Ale myśmy byli aż przy samym oceanie. Jak tą drogę budowaliśmy, to obozy, ziemianki przechodziły, tzn. przeprowadzali nas dalej i dalej. Pierwszy lagier nr 62.

Przechodziliśmy z lagru do lagru. Przy tej kolei były ziemianki budowane i konwój nas prowadził. Jak 70, 60 stopni mrozu, to już nas nie wyprowadzali. Tam tak silne wiatry były, że jak myśmy szli z ziemianki do kuchni (też w ziemiance), to trzeba było trzymać się linki, bo wiatr by uniósł człowieka.

Budzę się, już trup leży koło mnie, z jednej strony albo z drugiej strony. Ja przeżyłam tylko dlatego, że miałam silny organizm i młoda byłam, i taka uparta, że po prostu nie padłam duchem. Dlatego przeżyłam.

**Pyt.:** Ile lat pani tam była?

Zaraz. Chowali ludzi umarłych, rozbierali do naga. Ziemia zmarznięta, w niej jama, dół zrobiony kilofami; tam wrzucali ludzi nagich. O grzebaniu [zmarłych] nie było mowy, zmarzłina. To był taki pogrzeb. Tam klimat — jaka piękna zorza polarna, można godzinami stać, wpatrywać się. Coraz to inny kolor, coś przedziwnego.

Ludzie głodni, 14–16 godzin [pracy] i wystarczyło [pobyć] rok. Ja byłam prawie półtora roku. Ludzie strasznie chudli, skóra i kości; człowiek idzie, idzie, siedzi i umiera. A im chodziło o to, żeby [więźniowie] pracowali, żeby coś wydobyć. Zbrali, jak oni mówili, *dochodiagi*, wszystkich do [oddzielnego] obozu, ziemianek; to był lagier, tam lekarz i siostry, pielęgniarki. Wybrali tam specjalnie takich, którzy już pracować nie mogli, a ileś tam im brakowało — żeby nie umarli.

Tam rosła trawa, jeszcze jakieś warzywa, już nie pamiętam. Trawa rosła tak szybko, że po prostu w oczach. Ileś tam miesięcy tego lata, wiosny; trawa szybko rosła, tylko wątła. Las był, tzn. drzewa, brzoza, świerk. *Sowchoz* rzepę uprawiał, jeszcze jakieś tam warzywa, nam przywozili do kuchni i już myśmy więcej mieli, jakieś inne warzywa, już nie zmarznięte ziemniaki.

Przedtem byliśmy za Workutą,

tam zmarzłina, lasu nie ma. A teraz przywieźli nas [bardziej na południe], brygady zorganizowali i kazali iść do lasu i ścinać drzewa, ogromne. Młodzi byliśmy, ścinaliśmy drzewo i nie wiedzieliśmy, jak ono upadnie; trzeba się trochę znać, żeby ściąć takie drzewo. Ile trupów, ile tam kalek było, drzewa spadały, masakra; chyba specjalnie to [Sowieci] zrobili. Bardzo dużo trupów; chyba ktoś im coś powiedział, potem już zabronili, przerwali ten *lesopowal*. Ale pojedynczo, brygady wychodziły [do pracy w lesie] i już takiego zamętu nie było.

Pamiętam, pewnego razu prowadzili nas do lasu i ścięliśmy brzozę. Człowiek [przebywał] w takim mrozie to się przyzwyczaił, nie odczuwał. Brzoza na kawałki nam się rozleciała. Wtedy było 50 stopni [mrozu], jeszcze można było pracować, a przy 55 stopniach nie, już nas zabierali. Jedną brzozę ścięliśmy, potem świerk i to wszystko rozleciało się w kawałki, tak silny mróz. A na *Zapolariu* chodziliśmy w maskach przeciwmrozowych, ale były strasznie duszne, w ogóle nie mogliśmy oddychać.

Pamiętam, siedem miesięcy i już nabrałam ciała, już mogłam chodzić. Wybrali nas dużo bardzo — Litwinów, Estońców, Łotyszów, Polaków prawie wszystkich stamtąd zabrali (znaczy Polaków i Polki, ja byłam w żeńskim obozie). I przywieźli mnie do specjalnie — karnego obozu, do *Tajszetu*. Tam byli Japończycy.

Przywieźli nas do specjalnie — karnego obozu, *Ozier-lag*, dali nam numery. Ja miałam AB-33 numer. Czarne chustki, jakieś *tietogrejki*, porwane, ale czarne, spodnie czarne, wszystko czarne. Mieliśmy numer na piersiach, z tyłu na plecach i na lewej nodze. Duża płachta biała, czarne ogromne numery.

Tam już nie było żadnego nazwiska, imienia, tylko „*nomier takoj, takoj, wychadi!*”. Tylko numer. Największa kałuża błota — „*tażys'!*” w to, specjalnie. Konwojenci byli specjalnie wychowywani w domu dziecka, od małego wpajano im, że [więźniowie] to kontrrewolucjoniści. I oni nas strasznie nienawidzili. Szeregami, piątkami czy czwórkami szliśmy do pracy, obok jeden przy drugim, gonili nas do pracy.

Pracowaliśmy, jakieś doły kopaliśmy, różne, czort wie po co im to było. Strażnicy stawiali tyczki (*zaprietnaja zona*) i w tym okrążeniu pracowaliśmy — przecież byliśmy specjalnymi wrogami. Jak takiemu obozowemu [strażnikowi]

chciało się do domu jechać na przepustkę, to brał [karabin], strzelał — i ileś tam padło dziewczyn czy kobiet. Mymy byli wypisani z ewidencji, w ogóle nie istnieliśmy; jakby Stalin pożył jeszcze ze dwa lata to by było jak w Katyniu. Ich [konwojentów i strażników] nie karali za to, że oni zastrzelili — dla przyjemności. Paskudni, straszni, specjalnie wychowani byli.

Pamiętam kiedyś — *padjom*, jedna młoda dziewczyna [opowiedziała mi sen] — „coś będzie straszego, czarny kot mnie ugryzł...” W ten sam dzień ją zastrzelili. Wtedy to było bardzo częste. Wtedy padałyśmy jedna na drugą, a oni strzelali. Człowiek z nerwów. Pamiętam taką starszą panią, też zastrzelono, z córką była, córka gdzieś tam dalej pracowała, a ją... „Kontrewolucjonisty”.

Jak szedł *nadziratel* czy jakiś enkawudzista, a ja szłam naprzeciw niego, to musiałam zejść [z drogi] i powiedzieć mu „*zdraswujcie, grażdananin*”. Nie mogłam, nie mogłam się z tym pogodzić. Albo zawracałam, ale nie mogłam zejść mu [z drogi]. A jak już nie miałam wyjścia i nie mogłam się wrócić, to [szłam] do karceru — za to, że nie powiedziałam „*zdrawstwuujcie grażdananin*” i nie ustąpiłam, nie zesłam ze ścieżki. Ale mnie to [karcer] nie przerażało. Zawsze starałam się oczywiście, żeby tego uniknąć, ale jak nie mogłam, to wołałam iść do karceru.

I oni zastrzyki nam jakieś dawali. Pamiętam — kazali nam iść [na zastrzyk], ja powiedziałam: nie pójdę, zabijcie, a nie pójdę, ale przyciągnęli mnie i trzymali, siłą.

Raz w roku trzeba było podpisać, że człowiek będzie wobec nich lojalny. Nie mogłam się z tym zgodzić. Nie podpisałam im nigdy tego. Zawsze siedziałam [w karcerze]. I pamiętam, taka pani Grażyna Lipińska, pani **Kułakowska**, już nie pamiętam nazwisk — nie mogłyśmy się z tym pogodzić, żeby im to podpisywać. To do karceru. A potem już oni [Sowieci] się chyba do tego przyzwyczaili, że nie podpisujemy; już nie wiem, czy to był koniec [odsiadki], ale pamiętam, że już nic od nas nigdy nie żądali. Jak ja mogę podpisać mówiąc, że ja będę lojalna?

W oczach moich to nie ludzie, ja ich wszystkich uważałam za zwierzęta.

Co sobotę, co dwa tygodnie była tzw. *bania*, łaźnia. [Albo] co trzy [tygodnie], już tak dobrze nie pamiętam. Konwojenci kazali nam się rozbierać i sami — młodzi chłopcy — specjalnie patrzyli. Nasze łachy wrzucali [do *prożarki*], gorąco zabijało wszy. A my czekałyśmy nago. Wody nam dawano [zbyt mało], żeby głowę umyć i siebie umyć; człowiek tylko [brud] rozmazał. Przez dzień po tym, jak oni prażyli wszy, ubrania, nie czuło się wszy, ale potem znowu. Ścięłam sobie absolutnie włosy, bo utrzymać w czystości nie można było.

A oni [nas] oglądali, młodzi konwojenci stali i szczydziłi. A przecież my nie miałyśmy wyjścia. Kazali nam i musiałśmy stać i czekać na ubranie z tej *kapciorki*, założyć i potem [czekać] na „*wychad!*”. Ciepłe, gorące ubranie, i na mróz, i skuwało lodem.

Ja się sama dziwię, że to przeżyłam. Przecież to wszystko było zrobione tak, żeby człowieka zabić. [Śledczy] mi powiedział: „*ty i tak padochniesz i tak padochniesz*”. Żeby człowieka zabić, żeby męczyć i stopniowo wykańczać. To było specjalnie zrobione.

W obozie *wyszki*, tam jeden [strażnik] przy drugim, z automatem i celował. Druty [wysokie], kto by tam przeskoczył? Psychicznie, żeby wykończyć, robili to specjalnie.

Jak Stalin zdechł — on nie umarł, a zdechł — kazali nam zdjąć numery. Ja sobie myślę tak: przecież mi to wcale nie przeszkadza, co to mnie obchodzi w tym numerze? Ja swojego nie zdjęłam i idę po obozie. *Operupelnomoczen* (polityczny) mnie woła: „Czemuś nie zdjęła?” Mówię, że numer mi wcale nie przeszkadza. On: „*ty swołocz!*” i ciach mi to pozrywał, i posadził do izolatki, do karceru. Sobie posiedziałam, ale długo mnie tam nie trzymał, bo przecież trzeba było do roboty, żeby wykorzystać mnie. Dwa czy trzy dni, już nie pamiętam ile siedziałam. Kazali mi wyjść, a już numerów nie było, sam zerwał.

Potem, po jakimś czasie, sklepiki robili, coś można było kupić, ale w karnym obozie nie było w środku sklepiku, kiosku. Był przy bramie gdzieś tam.

Nas często przewozili z obozu do obozu i do każdego wagonu wpuszczali iluś recydywistów złodziei. W wagonach kobiety upchane jedna przy drugiej, recydywiski się nad nami w wagonach znęcały — biły, zabierały ubranie, wszystko. Chciałyśmy się bronić, ale miały jakieś narzędzia, noże, po prostu mówiły: „Zabiję ciebie” i już. A myśmy bezbronne były. Jak przyjechałyśmy do obozu to je nie wiem gdzie wsadzali. Niektóre wpuszczali do tego samego obozu, [co nas], ale one były takie ważne, że jak powiedziałam *naczalniku*, że tam znęcała się w wagonie, to nic go nie obchodziło. To były specjalne grupy [recydywistów] i do każdego wagonu wpuszczali, tak żeby nad nami się znęcali.

Potem odkuwaliśmy mikę, *śluda* po rosyjsku. Nożami kuliśmy, takie cieniutkie plasterki odkuwaliśmy. I tu już nas nie wyprowadzali, pewnie im za drogo, konwój przy konwoju, za dużo żołnierzy trzeba było. Teraz, w zamkniętym obozie, [trzeba ich było] już mniej. Pamiętam, trzeba było 50, 60 dekagramów naszczypać tej *śludy*. Ja to szybko bardzo robiłam. A gdy nie wyrobisz normy, dostajesz połowę chleba czy ileś tam. To ja zawsze robiłam 50 czy 40 dag, nie pamiętam już ile, zawsze o 10 dag mniej robiłam, a to, co więcej robiłam, [dawałam] starszym paniom. One się męczyły i nie mogły tyle zrobić, [więc] dawali im mało chleba i zupy gorszej; [dodawałam] im 10, 20 dag [urobku], jak mogłam.

Potem, pamiętam, przychodzi do baraku **Czeczowskaja**:

— *My oswabażdajem was, pojedietie na zsyłku.*

Dobrze. Zabrali mnie, tzn. kazali mi wyjść z tej hali, gdzie szczypałyśmy *śludę*. Przyszłam do baraku, wezwał mnie *nadziratel*, powiedział, że ja mam ileś tam miesięcy *zaczotów*. Pamiętam, pani Grażyna Lipińska i te wszystkie starsze panie mówią: Boże, i co my teraz będziemy robić... Jeszcze pani Lipińska odprowadziła mnie na wachtę, pod konwojem do samochodu i przywieźli mnie na dworzec i do pociągu.

Pociągiem przywieźli mnie do Krasnojarska, w Krasnojarsku na przesyłkę. Przywieźli nas do Abakanu, większa wieś i taki domek był i tam nas przywieźli. Pamiętam, przyjechał dyrektor mleczarni i mówi: „*diewuszki*, kto chce może do tego... [koichożu]” Mówię: dobrze, zapiszę się; [przynajmniej] mleka się napiję. Na jutro przyjeżdża, zabiera nas na sanie. Jedziemy, potem jakaś wieś i potem przy jakiejś chałupie strasznej, przerażającej: „*schaditie, zdies' budietie żyt'*”. Weszłam tam: chlew, nawóz, taka mała izdebka – to już na zsyłce – lód na podłodze, kobieta siedzi w kącie na jakiejś pryczy, skulona.

Kazali nam iść do komendanta. Mówię, że takie warunki, ani ani spać, ani nic. „No to róbcie co chcecie.”

I myśmy poszli do tartaku. Pokoiczek, w nim tyle pluskiew, że parzyliśmy je gorącą wodą codziennie; nie wiem skąd się mnożyły. Tam mieszkaliśmy.

A teraz opowiem, jak myśmy z Grodna do Orszy przyjechali. W Orszy, w więzieniu była przesyłka. Ogromna sala, na niej było 360 kobiet. Nie mogłyśmy się położyć, tylko musiałyśmy siedzieć [w kucki]. A jak nogi zdrętwiały, to jedna drugiej na plecy nogi przeciągała. A pluskwy...

Wszy tak się mnożyły, że ich wybić nie można, pluskwy na ścianach biłyśmy, a z sufitu padały. Była *parasza* ogromna w tej samej sali, tam się załatwialiśmy. 15 minut nam dali *progulki*, tj. spaceru, na dobę. Karmili nas, o Boże! I specjalnie złodziejów, recydywistów w sale wprowadzali i oni nas bili, grabili, zabierali. Słychać było tylko jęk, przerażający straszny jęk. We wszystkich celach wprowadzali recydywistów, bandytów. Oni się znęcali, bili, zabierali wszystko. Oni mieli wygodnie, mogli się położyć, a nad nami się znęcali.

O ojczyźnie. Jaka to tęsknota, to jest coś... Pamiętam jak przejechaliśmy granicę, zobaczyłam polskiego [żołnierza] – a nie wiedziałam, że komunizm tak strasznie szaleje w Polsce. Jechali z nami ze zsyłki oficerowie, lekarze, starsi, ja byłam młoda, ale przeszłam w życiu. Śmietanka, ale oni tak zdziczeli.. Tak byliśmy przytępieni, zapomnieliśmy jak kiedyś ludzie wyglądali. Zobaczyliśmy żołnierza polskiego, jak przyszli do nas do wagonu, to myśmy dotykali – czy śnimy, czy to sen? Żołnierz polski.

Przywieźli nas do Nowego Sącza. Wojsko wycofali gdzieś do Krakowa, a nas [umieścili] w tych koszarach. Pamiętam takiego pana, nie znam jego nazwiska, przyjechał w komisji z Warszawy. On wstał i chciał coś do nas powiedzieć. I tylko powiedział: „ja wiem, ile tam przeżyliście...” I lzy mu z oczu i więcej już nic nie mógł powiedzieć.

[koniec]